

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez
Gastona René.

6

(Ciąg dalszy).

— Zawołałem za panem „dzisiaj w nocy u ojca Noego“, a że pan przyjdzie, to byłem o tem przekonany. Droge pan zna dobrze, bo gdy mnie pan zamawiał do oddania znanej przysługi, trafił pan odrazu! Zresztą mogę panu się przyznać, że od samego początku uważałem pana za jednego z naszych, pomimo pańskiego przebrania! Nie jest to przecież rzadkością, że człowiek, tak zwanego eleganckiego świata, przebiera się i szuka między nami zucha, któryby powybieżał dla niego kasztany z ognia.

— Za te kasztany — krzyknął markiz — zapłaciłem ci przecież porządnie, czegoż chcesz jeszcze?

— Bardzo proste, panie markizie! Potrzebuję pieniędzy! Chciejmy tę sprawę prędko zakończyć, bo uczuwać głód i pragnienie. Ojciec Noe będzie się zresztą już dziwił, że nie dostał polecenia, by przynieść dla nas flaszkę wina i jakąś przekąskę.

Markiz podniósł się ze stołka i zapinał swój poplamiony surdut. Wydobyl z portfela kilka banknotów i położył je na stole.

Pożądliwym wzrokiem śledził zbrodniarz każdy ruch markiza.

— To już ostatek! Zapamiętaj sobie raz na zawsze — rzekł Lerma, chowając portfel do kieszeni.

Szybkim ruchem chwycił „Lis“ banknoty i schował je do kieszeni spodni.

— Spotkałem wczorajszej nocy stróża kostnicy i ten mi powiada, że z całej tej historii — pan wie, o czem mówię — powinno i jemu się coś dostać. Powiedziałem mu, że przecież należą mu się części już otrzymał i powinien siedzieć cicho. Wtedy zaczął coś bąkać, że może iść do policyi i t. d.

Markiz odrzekł szyderczo:

— Niech-no tylko spróbuje! Czy mu nie powiedziałaś, że przy tem naraża i swoją głowę?

— Jest on głupi, jak tyka grochowa, a przy tem uparty, jak amerykański wół. Nie ma więc co długo się bawić. Szczęście, że przynajmniej nie wie, dla kogo preparował trupa. Historia była dość skomplikowana, a prawdę powiedziawszy, nie ma on znów zupełnie nie słuszań. Powinno mu się zatkać pysk kilku frankami.

Markiz zgrzytał z wściekłości zębami, lecz po krótkim namyśle otworzył po raz drugi portfel i rzucił na stół banknot.

— Jesteście prawdziwe pijawki! Zatkaj mu tem gębę! Lecz, jeżeli myślisz, że zdołasz jeszcze na mnie co wymódz, to grubo się mylisz, bo prawdopodobnie w najbliższym czasie wyjadę.

— Dokąd-że to, jeśli wolno spytać?

— Nic cię to nie obchodzi!

Lis zaśmiał się w obrażający sposób.

— Przegrał pan sprawę, którą pan tak pięknie nawiązał.

Markiz zrobił minę, która wskazywała na to, że Lis zgadł.

— Nie troszcz się, chłopcze, o moje prywatne stosunki — dorzucił krótko. — Zanim jednak odejdę, chciałbym, byś mi odpowiedział na parę pytań.

— Jak się to odbyło na ulicy św. Marcina? bo mnie się zdaje, że nie wszystko było w porządku!

Lis przymknął oko i odpowiedział:

— Jeżeli ja już co wezmę w ręce, to musi się udać, panie markizie! Może pan być tego pewny! Czy nie załatwiło się wszystkiego zreczo, czy nie znaleziono trupa księcia w Sekwanie?

Markiz patrzył ponuro przed siebie, następnie rzekł:

— Dama, w której właściwie imieniu działałem, nie była, jak mi się zdaje, zupełnie ze mną szczerą, bo początkowo nie wiedziałem nic o czarnej szkatułce, którą posłała do pałacu barona de Brepont. Gdyby mi odrazu powiedziała, jaki właściwie zachodził przedtem stosunek między nią a księciem, to może trzymałbym się zdala od całej awantury. Teraz, niestety, za późno! Paryska policja pracuje z całym natężeniem nad wykryciem sprawców, dlatego powinienem z pieniędzmi, któreś dziś otrzymał, zniknąć na jakiś czas z Paryża, co i ja również uczynię.

— Zastanówię się jeszcze nad tem — rzekł Lis.

Markiz nasunął podarty kapelusz głębiej na czoło i skierował się ku drzwiom. Nadłuchiwał, czy nie usłyszy jakiego szmeru z kurytarza, bo przebiegłość zdawała się go nie opuszczać ani na chwilę. Wszystko jednak było w zupełnej ciszy, dlatego wszedł szybko do ciemnej sieni.

Lis siedział jeszcze chwilę przy świetle świecy i uśmiechał się dziwnie; był on w wybornym humorze, wyciągnął z kieszeni banknoty i oglądał je przy świetle.

— Piękne papierki — mruczał zadowolony. — Byłbym chyba największym głupcem, gdybym dał jeden z nich stróżowi kostnicy. Gdy zacnie być zbyt natarczywy, dam mu z tyłu przyjacielskie pchnięcie. Cóż będę winien, że będzie stał właśnie nad brzegiem kanału Sekwany i straci równowagę!

Powiedziawszy to, wybuchł łotr głośnym śmiechem, wsunął banknoty do kieszonki kamizelki i chciał opuścić pokój, by z frontu u ojca Noego wypić jeszcze flaszkę wina.

Zbliżywszy się do drzwi, stanął nagle. Czyż z kurytarza nie dolatywał jakiś szmer? Czyżby to markiz powracał? Według obliczeń Lisa, musiał on dawno opuścić piwnicę, bo drzwi, prowadzące do izby gospodniej, już dawno zamknęły się cichutko za markizem.

Lis mimowoli wyciągnął rękę ku światłu, by je zgasić. Jeżeli grozi niebezpieczeństwo, to najlepiej ujść jeszcze w zupełnej ciemności.

Do drzwi komórki zbliżał się ktoś rzeczywiście, włączając nogami. Jedno ściśnięcie palców wystarczało i świeca zgasła. Zupełna ciemność otoczyła teraz Lisa, a on sam zasunął się w najgłębszy kąt i szukał ręką krótkiego, podobnego do sztyletu noża, który zawsze nosił ze sobą.

Jakaś ręka dotknęła drzwi.

Lis słyszał szmer, który przy tem powstał. Nie ruszył się jednak nawet, gdy ktoś wszedł do izdebki. Mógł to być ojciec Noe.

— Hej! gdzież się tam schował, Lisie? — odezwał się głos, ochrypliwy z alkoholu.

Złoczyńca wyprostował się nieco. Był to jeden z jego znajomych, który go tu szukał. Prawdopodobnie wysłał go do izdebki ojciec Noe. Lis nie przypomniał sobie wprawdzie, aby słyszał kiedykolwiek ten głos, lecz jego nieufność znikła.

— Tutaj jestem — odpowiedział. — Czegoż do diabła chcesz odemnie?

W tejże chwili błysło światło ślepej latarki i biały, niezwykle silny promień padł na Lisa.

Z nawpół przytłumionym okrzykiem wściekłości rzucił się w tył i wydarł nóż z kieszeni. Również szybko otrzymał uderzenie w piersi, które odrzuciło go w najgłębszy róg izdebki. Skoro się znowu podniósł, aby się rzucić powtórnie na napastnika, ujrzał przed sobą włóczęgę, ubranego jeszcze gorzej od siebie. Niezwykłym przy tem było tylko to, że ów człowiek trzymał w lewej ręce jasno świecącą latarnię, a prawa mierzyła rewolwerem w Lisa.

— Ani się rusz — ani piśnij! — rozkazał nieznajomy.

Lis otworzył szeroko oczy, bo sądził, że się przesłyszał. Głos był całkiem inny od tego, który słyszał przed chwilę.

— Czegoż chcesz odemnie? — zapytał, ciagle obejmując kureczowo nóż.

— Jesteś moim więźniem, Piotrze Gramont, przezwany lisem! Odrzuć nóż, bo zanim zdołałbyś go przeciwko mnie użyć, strzaskałbym ci rękę, albo i głowę! Nie łudź się mym wyglądem, bo jestem tym, o którym może już słyszałeś między swymi towarzyszami! Jestem „Szkłane oczko“!

Nazwisko, budzące między zbrodnicami paryskimi grozę, a do tego okoliczności, wśród jakich spotkał się z nim Lis, podziało wprost druzgocąco na niego.

— Rzuć nóż! — zabrzmiął jeszcze raz głos detektywa.

Głos ten zbudził Lisa z chwilowego odrętwienia. Wiedział on, co go czeka, jeśli wpadnie w ręce policyi. Myślał, że skoczywszy nagle, zbije z nóg agenta i ujdzie; lecz grubo się pomylił, bo w tej chwili huknął strzał, a ręka z nożem opadła na dół.

Nóż wypadł z ręki Lisa, a on sam zatoczył się pod ścianę.

Detektyw otworzył drzwi i kazał przebrany agentom wyprowadzić złoczyńcę do karetki, oczekującej na niego przed piwnicą ojca Noego. Żaden z kolegów, zebranych w piwnicy, nie ruszył nawet palcem w jego obronie, bo z przybyciem karetki ukazał się w drzwiach komisarz policyi, w pełnym uniformie, przeglądając jednego za drugim.

Skoro Lis z eskortą znikł, zbliżył się komisarz do ojca Noego i rzekł krótko:

— O tem, co zaszło, należy zachować milczenie. Zresztą ci tam nie potrzeba się niczego obawiać, bo tej nocy już nie wrócimy!

Powiedziawszy to, wyszedł.

Należy tutaj dodać tylko pewne objaśnienie. Gdy markiz znikł wraz z Lisem, detektyw, który siedział czekając za piecem, skorzystał z kłótni, jaka między łotrzykami wybuchła i wśliznął się w kurytarz, gdzie przyłożywszy ucho do drzwi, wysłuchał całej rozmowy markiza z Lisem. Bo też Lis był cennym nabytkiem dla policyi. Gdyby przedtem uwieziono markiza Lermę, to byłoby to przestroga dla Lisa, który znikłby w Paryżu tak, że żaden z detektywów nie byłby go zdołał wysledzić. Zaaresztować zaś obu nie było w planie detektywa, który też dlatego pozwolił spokojnie odejść Lermie, wtuliwszy się w ciemny kąt kurytarza, gdzieby go markiz nie zobaczył, chociażby zapalił światło. Po odgłosie kroków poznał, że markiz sam się oddalił, co mu było bardzo na rękę.

Po odejściu markiza zbliżył się „Szkłane oczko“ do drzwi i wtedy prawdopodobnie powstał lekki szmer, który zwrócił uwagę Lisa i spowodował, że tenże zgasił światło. Wobec tego nie pozostawało detektywowi nic innego, jak użyć podstęp. Zmienił więc głos i w ten sposób dowiedział się, gdzie zbrodniarz się ukrył.

Co się dalej stało, to czytelnik już wie.

Markiz szybko i ostrożnie opuścił dzielnicę, w której znajdowała się knajpa ojca Noego, aby udać się do pokoiku, wynajętego pod fałszywym nazwiskiem, gdzie odbyła się metamorfoza, bo z wstępnego włóczęgi przemienił się napowrót w eleganckiego arystokratę. Podczas tego postanowił sobie dobrze nad tem pomyśleć, czy nie udałoby mu się pozyskać ręki Leontyny de Brepont. Bo baron mógł być może tylko tak tem zaskoczony, a teraz w szczęśliwszej godzinie mógłby go przyjąć za zięcia z otwartymi rękami.

Podczas tego, gdy markiz oddawał się swym słodkim nadziejom, siedział Lis, zakuty w kajdany w celi pałacu sprawiedliwości.

Mimo późnej nocy kazał go sędzia śledczy zaraz przyprowadzić, aby ściągnąć z niego, o ile możliwości, ważne dla niego zeznania, dotyczące całej sprawy. Lecz Lis zaciął zęby i nie odezwał się słówkiem. Sędzia był tem zrozpaczony, lecz „Szkłane oczko“ pocieszył go, twierdząc, że po paru dniach zmieknie on tak, jak rzadko który.

VII.

W jednej z pierwszorzędných kawiarni w Marsylii zjawiał się codziennie, o jednej i tej samej godzinie, od paru dni nowy gość, siadał przy tym samym stolczku w kącie i kazał sobie zawsze podawać cały stos dzienników.

Był to mężczyzna około lat 50, chociaż nie można było tego twierdzić z pewnością, bo twarz jego nie zgadzała się z dobrze siwiejącymi, starannie wyfryzowanymi włosami.

Był zawsze czarno ubrany i nosił nie ostatniej mody cylinder. Z jego wysokiej, nieco pochylonej postawy sądzono, że musi on być pensjonowanym oficerem, urzędnikiem, lub czemś podobnem.

I dzisiaj zjawił się w kawiarni, zdjął palto i kapelusz, siadł przy tym samym stolczku w kącie, przetał fularową chustką ciemne okulary, przy czem jednak odwrócił twarz do ściany.

Kiedy kelner, przyniósłszy gazety i czarną kawę, oddalił się, odwrócił powoli głowę i przypatrywał się z poza okularów siedzącym w kawiarni. Następnie wziął do ręki paryskie „Figaro“ i zaczął czytać.

Nieznajomy rzucił wprawdzie dłuższe spojrzenie na siedzącego opodal paryskiego dandysa, który palił rosyjskiego papierosa i zdawał się nudzić. Kiedy nieznajomy zagłębił się w gazecie, począł nasz dandys bacznie go obserwować.

Nagle zdało mu się, że jakaś notatka obudziła szczególniejsze zainteresowanie się nieznajomego, bo pochylił się on głębiej nad gazetą i skupił całą uwagę.

Za chwilę przybrała jego twarz wyraz przerażenia i rozpacz, lecz zaraz się opanował i popatrzył po sali, czy przypadkiem kto go nie obserwuje. I tym razem powiódł oczyma po dandysie i zatrzymał je na nim nieco dłużej.

Lecz ten zapalał właśnie nowego papierosa i zdawał się całkiem na naszego nieznajomego nie uważać. Lecz skoro tenże zagłębił się znowu w gazecie, utkwiał w nim oczy na nowo. Notatka, jak się zdaje, była długa i tak go zajęła, że przestał się zupełnie troszczyć o innych gości. Nagle odłożył „Figaro“, wziął inny dziennik i szukał począł jakiejs rubryki, a kiedy ją znalazł, zadrżał znowu,